

Od autora: fragment nowo pisanej książki "Dojrzałe lata" ze wspomnieniowego cyklu "Zza zasłony czasu".

Czas akcji - sierpień 1989. Miejsce - dworzec kolejowy w Berlinie Wschodnim. Przyczyna - powrót do domu po miesięcznej pracy przy żniwach na wyspie Rugia. Przyczyna pracy w NRD, w czasie własnego urlopu - chęć dodatkowego zarobku, zakupu za niego towarów i przywiezienia ich do domu, gdyż w Polsce królowały jeszcze "puste półki"

(...)

Dni pracy powoli zlewały się w jeden, dość monotony ciąg. Pracowaliśmy w zależności od potrzeby; ja raz na iwanie, innym razem szuflowałem wraz kolegami. Pierwsze dwa tygodnie sierpnia czasem pracowaliśmy dłużej i w różnych godzinach dnia, gdyż zaczęło spływać świeżo zebrane zboże z pól gospodarstwa. Rękawów jednak sobie nie wrywaliśmy. „Ot, solidna, niemiecka porządność – bez pośpiechu, byleby robotę zrobić. To mi się podoba” – podsumowałem w ostatni dzień pracy nasz miesiąc pobytu w NRD.

Następnego ranka otrzymaliśmy dobrą wypłatę we wschodnioniemieckich markach, nawet z małą premią. Klaus wręczył nam jeszcze zaświadczenia o pracy i wysokości zarobku:

– Na to możecie kupić u nas wszystko i zabrać do domu. Na granicy pokażecie tylko ten papier. Dobrzy z was pracownicy, napiszę. Jak będziecie mogli, to zapraszam za rok. Praca dla was będzie.

To nas podbudowało. „Może i w przyszłym roku dorobię i będzie co kupić do domu”? Po pożegnaniu pojechaliśmy podmiejskimi pociągami do Berlina. Następne połączenie, już międzynarodowe do Polski i przez naszą stację przesiadkową w Kutnie, było dopiero za kilka godzin. Przeznaczaliśmy je na zakupy towarów do domu za otrzymane wypłaty.

Ledwie dźwigałem swoje torby, wypełnione po brzegi, podobnie jak czwórka kolegów. Tylko Jarek kupował niewiele.

– A ty co? – zagadnąłem go w jednym ze sklepów spożywczych, już blisko dworca kolejowego. – Chcesz ich marki do domu zabrać? To nie są zachodnie, za nie nic nie dostaniesz w Pewexie.

– Nie. – Pociągnął nosem i pokręcił głową. – Kobita chciała, żebym lodówkę przywiózł. Taką średnią. Widziałem je w sklepie przy dworcu.

– Coo?! – Wszyscy jednocześnie zareagowaliśmy. – Lodówkę?!

– Czyś ty z byka spadł? – Zaśmiałem się. – A jak ją wsadzimy do wagonu? Może przez okno, co? Wyjmiesz je?

– Wejdzie przez drzwi – odpowiedział nieskonfundowany. – Już wcześniej mierzyłem, zmieści się. Bilety mamy i cały przedział zarezerwowany.

– No, jak chcesz. Byle ludzi nie było dużo na korytarzu. Chociaż nie ma co na to liczyć...

– ...przecież pomożecie – wszedł mi w słowo. – Tobie i Tadekowi ustąpią.

– A niech cię. Niemcy mogą nie pozwolić, wiesz jaki u nich jest ordnung. To nie walizka.

– Zaryzykuję. Też mi się nie uśmiechało, ale kobita naciskała. Może się uda.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak tak bardzo pragniesz... twoja sprawa. Jak nie pozwolą, to lodówka zostanie na dworcu w Berlinie, a my pojedziemy. No dobra, idziemy.

Lodówkę w sklepie dostaliśmy bez problemu – ustawione w rzędach, czekały na chętnych do kupna; w przeciwieństwie do widoków w Polsce, jakie znaliśmy. U nas to klienci stali cierpliwie w kolejkach, oczekując na dostawę towaru, bez pewności czy dowiozą i czy starczy dla wszystkich.

Kiedy dotarliśmy na dworzec kolejowy, na peronie stał już nasz pociąg, a tłum podróżnych wsiadał do środka. „Wsiadał” to delikatne określenie – ciżba się przepychała, przekrzykiwała, ciągle słychać było znane nam od dzieciństwa rodzime przekleństwa.

– Kurde, ile tu Polaków. – Jarek aż zaciął wargi. – Obładowani jak wielbłądy.

– Dziwisz się? – odparłem. – Przyjeżdżają do Berlina na handel z naszymi towarami, sprzedają i kupują ichnie. I tak w kółko. Mają zarobek. Ciesz się, że mamy zarezerwowany przedział, bo inaczej z lodówką byś nie wlaźł. No dobra, szukajmy naszego miejsca.

Przepchaliśmy się między ciżbą ludzką do wagonu, którego numer mieliśmy zaznaczony na bilecie. Jarek z Tadekiem wcisnęli się do środka, aby odszukać nasz przedział. Po kilku minutach wrócili, wyraźnie zdeenerwowani.

– Ktoś nam zajął miejsca! – Tadek zeskoczył ze stopnia i zaklął. – Siedzą tam i nie chcą wyjść, chociaż im bilety pokazaliśmy! Cały przedział zapchany handlarzami!

– Co?! – Całą naszą czwórkę замуrowało. – Jak to, nie chcą wyjść?! Które to okno? – dopytałem.

Jarek wskazał. Podeszedłem i wałęsałem kilka razy pięścią. Okno uchylił jakiś czerwony na twarzy, gruby jegomość i warknął:

– Czego?! Tu już pełno.

– To nasze miejsca, zarezerwowane. Opuśćcie przedział.

– A odpierdol się! – Pokazał mi ściśniętą pięść i zamknął okno.

„Kurde! Ja ci dam odpierdol się. Myśli, że na kogo trafił? – przemknęło mi przez głowę. Już chciałem wejść do wagonu, ale... – Będę się z nim szarpał? I z innymi? Poczekaj, cwaniaczku...”. – Rozglądnąłem się po peronie. Kilkanaście metrów dalej, przy wejściu do budynku dworca stała postawna kobieta w kolejarским mundurze. Podeszedłem do niej i bardzo spokojnie powiedziałem:

– Guten Tag. Mamy rezerwację przedziału w wagonie. Pracowaliśmy u was miesiąc i wracamy do domu. – Przez cztery tygodnie pobytu opanowałem już język niemiecki na tyle, że mogłem się porozumieć. – Inni nam zajęli i nie chcą wyjść. Bitte, to nasze. – Wyjąłem swój numerowany bilet oraz potwierdzenie o

pracy.

Spojrzała na mnie z zimnym wyrazem twarzy, ale wzięła papiery i uważnie przeczytała. Po chwili jakby w nią piorun strzelił. Oddała mi je i zakomenderowała:

– Welche? Który? – powtórzyła pytanie już po polsku.

Wskazałem ręką. Podeszła do okna i uderzyła w nie trzymaną w rękę kolejarską pałką. Kiedy je opuścił ten sam jegomość, co mnie, twardo rozkazała:

– Wszyscy wyjść z tego przedziału. Zarezerwowany. Nielegalnie weszliście.

Mój rozmówca otworzył usta i chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu, dokańczając:

– Natychmiast. Inaczej wezwę policję. – Przyłożyła gwizdek do ust, ale nie dmuchnęła. Siedzący w przedziale podnieśli się i zaczęli zdejmować swoje bagaże z półek.

– Tadek, do przedziału. Danke schön. – To już powiedziałem do konduktorki.

– Bitte. – Kiwnęła głową i wreszcie leciutko się uśmiechnęła. – Ordnung muss sein.

Po chwili Tadek wychylił się z okna przedziału.

– Wyszli. – Zaśmiał się. – Kilka słów sobie zamieniliśmy z tym facetem, ale bez rękoczynów. Bierzcie lodówkę.

Podnieśliśmy ją we dwóch. Jarek miał rację – zmieściła się w drzwiach wagonu. Ledwie, ledwie, ale przeszła. Konduktorka podniosła brwi i otworzyła usta, ale nie skomentowała. Pokręciła tylko głową i odeszła.

Więcej problemu było z przeciskaniem się korytarzem do przedziału; był zapchany ludźmi i bagażami. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzaliśmy ciągle, jak mantrę. Na szczęście pasażerowie byli wyrozumiali; wpychali się na chwilę do przedziałów, aby nas przepuścić. Tylko jeden żartobliwie skomentował:

– A co to za kolubryna? Że was wpuścili.

– Jak powiem, że bombę, to będzie dobrze? – odpowiedziałem w jego tonie. – Przynajmniej od razu by się połuźniło. Ale nie mogę. Jeszcze Niemcy usłyszą i zaaresztują.

Kilkoro ludzi się roześmiało, nie byliśmy gorsi i też im zawtórowaliśmy. Od razu atmosfera w wagonie stała się lżejsza.

Wreszcie dotarliśmy do naszego przedziału. Byłem przygotowany na kolejną „pogawędkę” z moim interlokutorem, ale, o dziwo, nie było go. Widocznie zmył się w drugą część wagonu. „No i dobrze, ma szczęście – przemknęło mi przez głowę. – Dałbym mu jeszcze za to, co mi powiedział. Ale szkoda marnować nerwy na takiego”.

Za nami weszła pozostała trójka kolegów, ale bez bagaży. Rozejrzałem się – wszystkie torby już były na

półkach.

– No masz – skomentowałem zgryźliwie – to my się tarabanimy z lodówką przez zapchany korytarz, a wy jak panowie szlachta, na pusto. Panowie szlachta, to białych rączusi nie kalają dźwiganiem. Jeszcze by odciski powstały.

– Trzeba było myśleć. Torby przez okno podaliśmy – zaśmiał się jeden.

– Te, jak cię walnę! – zamarkowałem zamach – cwaniaczku.

Odchylił się mimowolnie w tył i zarechotał.

W przedziale wreszcie mogliśmy się rozsiąść, chociaż dwóch z nas musiało, niezbyt wygodnie, położyć nogi wysoko na lodówce. Zajęła całą wolną szerokość między siedzeniami.

– Chcecie siedzieć przy oknie, to coś za coś – skomentowałem. Zdjąłem buty, wyciągając swobodnie własne nóżki aż na przeciwległe siedzenie. – No, to i się udało. Jedziemy do domu.

Reszta naszej podróży pociągiem do Kutna, a potem do kolejnej przesiadki w Toruniu, minęła prawie bez problemów – lodówka nie nadwerżyła nam rąk przy przejściu na inny peron, jedynie zmusiła do kombinowania przy wejściu do nowego pociągu. Drzwi wagonu nie otwierały się zbyt szeroko, ale w końcu udało się ją wstawić do środka. Trochę było kłopotu, gdyż blokowała drzwi oraz wejście do toalety, ale byliśmy uprzejmi wobec współpasażerów i bez ponagrania przenosiliśmy ją w razie potrzeby.

Ostatnie, już nocne połączenie z Torunia do Grudziądza to była sama przyjemność z jazdy środkiem komunikacji publicznej, która w ciągu powszedniego dnia zdarzała się rzadko – jechaliśmy lokalnym pociągiem z piętrowymi wagonami o podwójnych, tak szerokich drzwiach wejściowych, że i osobowe auto weszłoby na szerokość. Do tego pasażerów można było spokojnie policzyć na palcach obu rąk i nóg.

Na peronie dworca w Grudziądzu przywitały nas okrzykami radości małżonki i nasze latorośle. Nawet nasze ciężkie torby, wypchane towarami z zagranicy, od razu stały się lżejsze.

Już w domu, po zjedzeniu pyszności przygotowanych na późnonocną kolację dla męża i ojca niewidzianego od miesiąca, przyszedł czas na opróżnianie pękatych toreb podróżnych. Chciałem odłożyć ten moment na nadchodzący poranek, ale nie z moimi paniami te numery! Zostałem przez nie przegłosowany, a nawet niezbyt się opierałem. Pozwoliły tylko na niecałą minutkę przekomarzania. W nagrodę mile byłem bechtany ochami i achami przy każdej rzeczy, wyciąganej na światło dzienne...

...do momentu, który miał być clou12 mojego powrotu do domu. Z czeluści torby wyjąłem, z namaszczeniem, dwie pary damskiego obuwia firmy „Salamander”, pożądanego i poszukiwanego ze względu na piękny wygląd i jakość wykonania. Zimowe, skórzane czarne kozaki dla połowicy i piękne, czerwone lakierki, półbuciki dla latorośli. Zachwyty stały się nagle tak głośne, że musiałem moje panie uciszyć:

– Obudziecie sąsiadów! Lepiej przymierzcie...

Nim skończyłem mówić, Magdzia już stanęła w lakierkach na nogach i mimowolnie znowu krzyknęła:

– Za duże!

– Moje kozaki też! O dobre dwa numery! – zawtórowała małżonka.

Cała moja napęczniała duma pękła jak nadmuchany balon.

– Cholera! A tyle siedziałem w tym sklepie, aby dobrze wybrać, tak się cieszyłem, że dostałem. Mają inną numerację, ale myślałem, że będą pasować. Dwa razy brałem większe numery na wygląd, aby nie okazały się za ciasne. Kurde, o te dwa razy za dużo.

– Nie martw się. Szkoda tych pięknych butów, ale i tak przywiozłeś mnóstwo. – Gabrysia przytuliła się do mnie. – Nie pomyślałyśmy, aby wcześniej zmierzyć stopy i wzięłybyś patyczki na miarę. Mamy nauczkę na przyszłość. A Magdzia rośnie i za rok-dwa lakierki powinny już jej pasować.

Słowa małżonki sprawdziły się co do joty. Cnota cierpliwości jest czasem wynagradzana...

(...)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 09.02.2023 19:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.